

ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 16-go lipca 1925 r.

Nr. 26

Na włosku...

Opowiadanie młodego Amerykanina.

Byłem synem pobożnej matki. Ileż to tysięcy razy zadawała mi w życiu pytanie; Franciszku czy modliłeś się rano? Ale ileż to razy wcisnęła się do mojej izdebki, a kiedy jeszcze czuwałem, zniewoliła mnie, abym jej dopomógł w odmawianiu Różańca? Naturalnie nie byłbym nigdy zaniechał przyjąć dwa razy do roku Sakramentów świętych, ale Matce mojej było i tego za mało i co sześć tygodni ulegałem jej prośbom i przystępowałem do stołu Pańskiego, a wychodziło mi to na korzyść.

W interesie zawodu mojego byłem zniewolony razem z przyjacielem odbyć podróż w głąb kraju w Teksas — naturalnie konno. Podróż tam dotąd i napowrót wymagała 6 dni czasu; jechaliśmy przez okolice bezdrożne, pełne lasów i zarośli, a w Teksas jak wiadomo, pełno jest rozbójników i dzikiego zwierza. Matka moja była w wielkiej obawie i prosiła mnie, abym przed podróżą był u spowiedzi. Do tego nie miałem właśnie skłonności i mało przytem czasu, na ostatku i tak wyjechałem. Mateczce mojej jednak że przyrzekłem święcie, że w modlitwie się nie załużę, co też wypełniłem. Po raz pierwszy w tej podróży nocowałem w Cuero. Ztamąd mieliśmy jeszcze dwa dni drogi, aby się dostać do Luling, do celu naszej podróży. Drugiej nocy obozowaliśmy w lesie, a że byliśmy zmęczeni, zasnęliśmy mocno, mimo że ziemia była twardą. Ze znużenia zaledwie ręce zdołałem złożyć, jednakowoż odmówiłem 3 Zdrowaś Marja, modlitwę do św. Anioła Stróża i Salve Regina, potem zasnąłem. Kiedy obudziliśmy się nad ranem o świcie patrzemy, a tu cały arsenał ku nam skierowany, i to sześć strzelb i cztery rewolwery, a w drugim końcu każdej poszczególnej strzelby stoi dziko na nas patrzący człowiek.

— Ręce do góry! krzyknął dowódzca w małej postaci, ale o dziwie i zuchwałem wejrzaniu, mający długą strzelbę na ramieniu — szybko i zawołał.

Gdyby nam był kazał na głowach stanąć, a nogi do góry podnieść, to też byśmy go byli usłuchali.

— Kosztowało nas dużo mozółu, nimeśmy was dostali, — zawołał.

— Wiecie co was czeka! poślemy was w dłuższą podróż, niż w tę, w którą się teraz wybraliście! Zdziwieni, prosiliśmy tych ludzi, aby nam oświadczyli, czego właściwie żądają.

— Prawdziwie, tak wy wszyscy robicie, nie wiecie nigdy o czem mowa. Jesteście zanadto do brymi, ażeby żyć w ucziwem towarzystwie, dla tego też tak się zawsze spieszycie, aby ująć dalej i zawsze czujecie potrzebę pożyczyc sobie koni i dosiąść ich nie zapytawszy się wprzód, czy wam to wolno!

Naraz pojęliśmy, czego od nas żądają i za kogo nas mają, myśleli, żeśmy koniokradzy. W Teksas zaś taki występek, to samo co śmierć za pomocą stryczka na szyi.

Oświadczyliśmy im, że niewinność naszą okażemy papierami legitymacyjnymi.

— Pal was kaci z waszemi papierami! — zawołał dowódzca. — Naturalnie, że i papiery macie! Takie ptaszki jak wy, zawsze mają papiery przy sobie i to szeflami! Dość, że wiecie, dokąd was zawlekiem Aleks, przynieś postronki.

Aleks przyniósł postronki, mające ze 30 stóp długości.

Wszystko to tak spadło na mnie niespodziewanie, iż wcale nie dawałem włary, że w przeciągu kilku minut mogę być wysłanym na tamten świat. Mimo wolnie nasunęło mi się na myśl pytanie, czy nowy postronek mógłby być wygodniejszym od starego, i czy nas podług starego sposobu z dołu pociągną do góry, czy też, że nas podług nowego sposobu wsadzą na konie, a te potem podciawszy biczem, z pod nas usuną.

Napastnicy naradzali się nad tem, czy nam mają dać 10 minut czasu, abyśmy się mogli pomodlić, lub też nie, a jeden z nich podał projekt zabrania nas kawał drogi dalej, dopóki drugi orszak który inną obrał drogę, nie doścignie, ażeby, jak się wyraził przyjrzeć się mógł tej rozrywce i dolożyć rękę do tego chwalebego czynu.

Otdąd istotnie wzrosła we mnie obawa o życie. Wiedziałem, że jesteśmy zgubieni, jeśli jaki cud nie nastąpi. Teraz pomyślałem o matce i o jej napomnieniach, aby się wypowiadać! W ciszy serca zacząłem się modlić w czasie narady napastników słubowałem sobie, że przez całe życie, jeśli pożyję, we wszystkie święta Matki Boskiej przystępować będę do Stołu Pańskiego. Nadziei jednakże nie miałem wcale, żeby mi życie darowano.

Ci, którzy nas zaraz chcieli powiesić bez modlitwy, byli w większości, a między nimi sam dowódzca który mówił że modlitwy koniokradów nie mają najmniejszego powodu trać z nami tyle czasu. W ogóle, gdyby ów dowódzca ze swą długą strzelbą był miał zupełną przewagę, to zaraz by nas powiesili. Atoli towarzysze jego nie wiele się o jego rady troszczyli. Kiedy im oświadczył, że to on im wskazał drogę do nas, to mu na to odparli, że i bez niego tych złodziei (wkazali na nas) byłiby w końcu zdyballi. Tak się sprzeczali bezustannie; ja tymczasem modliłem się ze skrucą i poleciłem się opiece Boga.

Nakoniec postanowili wyruszyć dalej by spotkać się z przyjaciółmi, kiedy jeden z bandy zawołał: Otoż oni! — słyszę głos Billa Gattlinga, któremu te konie ukradziono. Cieszę się, że przybywa, on bowiem wprawny z tymi koniokradami i wkrótce ich sprzątnie.

Zauważyłem, że dowódzca nagle się zatrwożył kiedy usłyszał, że sam Bill Gattling przybywa.

W tej samej chwili przypadło do nas 4 jeźdźców.

— Billu, właśnie przybywasz w porę, aby ich sprzątnąć — rzekł ów dowódzca z pośpiechem. — Zdybaliśmy ich i oto są. Ładne chłopaki, czy nie tak? A to pewnie twoje skradzione konie? I wskazał przytem na nasze konie, które opodal się pały na trawie.

— Co, moje konie? — zawołał Bill — wy głupcy! tym razem szukaliście chrząszcza pod innym kamieniem! Konie, które mnie ukradziono, były o wiele rośljejsze, niż te tu szkapy; a i ci ludzie są poczciwami, właśnie ci nocowali zeszłej nocy u mego wuja. Zresztą widzicie, że konie swoje już znalazłem, a jednego ze złodzieji powiesiłem sam przed godziną. Wyszliśmy go tam w trzęsawiskach, i ani mu nie pozwoliliśmy zesiąć z konia, tylkośmy go za kark zawiązali u drzewa, a konia z pod niego wysunęliśmy i tak zawisł w powietrzu.

Dowódzca ów z długą strzelbą, który nas tak spieszenie chciał powiesić, zbladł na tę wieść; jednocześnie Bill Gattling spojrział nań wzrokiem pełnym zdziwienia, pochwycił za broń, tak jakby był dać chciał ognia i właśnie otwierał usta, aby go coś zapytać gdy ów dowódzca zawołał zuchwale: Tam do kata, czy to nie szkoda całej naszej pracy i szukania! Chłopcy wypijmy po jednym, a potem dalej w drogę. Podniósł do ust butelkę pełną wódki, potem ją podał sąsiadowi, by ten znów i innym dalej dał poćgnąć kilka łyków i zawołał: Bodajbyśmy na drugi raz lepsze mieli szczęście. Prawdziwie, nie ma już rozroczy tu w całej okolicy. Jest człowiek ma niekiedy widzi na dobrą rozrywkę — nie h kaci biorą! zawsze coś przeszkodzi i cała zabawa na nic! Ożemuśny to nie zrobili jak ja chciałem, wprzód było powiesić, a potem obrać wać! Wtedy nie ma pomyślać, bo na powieszenie każdy zasłużył, czy za to, czy owo. Powiadam wam, lichy to kraj! Po tych słowach nagle dosiadł konia i wprawli go w szybki bieg.

— Stój — zagrzmiał w tej chwili za nim głos Billa Gattlinga, ale ów dowódzca ścisnął konia ostrogami, tak, że ten szybko pomyślał. Wtem za obwilę rozległ się odgłos strzału, a uciekający spadł przez łeb koniowi. Kiedyśmy się do niego zbliżyli, kończył życie z przekleństwem na ustach.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołało kilku i otoczyli Gattlinga, który stał obojętnie, dopiero co wystrzelony karabin trzymając w ręku. — Co to znaczy? Zaraz wam powiem. Znaczy to, że ten tu zabity był bratem koniokrada, którego niedawno powiesiłem. Interes ten oni obaj wiedli do spółki, obaj mi konie ukradli i już ze trzydzieści koni skradzionych mieli ukrytych tam w trzęsawisku na kępie, z którymi chcieli do Kansas wyruszyć i je sprzedać. Zrećnie się brali do dzieła, ale im się nie udało. Dostało im się teraz to, na co od dawna zasłużyli.

— Do kata! — zawołał jeden z towarzyszy, toćto on sam naprowadził nas na ślad tych poczciwych niewinnych ludzi. Teraz pojmuje, dla czego ich tak spieszenie chciał popowieszać!

Po przebytych strachu naturalnie dziękowaliśmy Bogu za nasze ocalenie, a ja popowrocie do domu aż po dziś dzień ściśle dopełniam ślubu, jaki złożyłem w jednej z najokropniejszych chwil życia mojego.

O miłości bliźnich.

Mędzy cnoty prawdziwemi,
Wiarą, nadzieją miłością,
Miłości swą doskonałością.
Ma pierwszeństwo nad drugiem.

Biada temu co nie czuje
Miłości bliźniego!
Tak jest list Pawła świętego,
Piękną nam ją opisuje.

Miłość, mówi, jest cierpliwa,
Jest łagodna, miłosierna;
Jest życzliwa, wprawdzie wierna,
Nie zazdrośna opryskliwa!

Nad drugich się nie wynosi,
Nikogo nie sądzi!
Przebacza; kiedy kto zbłądzi,
Wszystko wierzy, wszystko znosi.

Jak zamożny tak ubogi,
Winien jest miłość bliźniemu;
Bóg ją nakazał każdemu,
Jakiekolwiek jego progi.

A dowody tej miłości
Liczne można dawać.
I nic zgoła nie posiadać,
Tylko kochać z wszechmożności.

Kochać więc mamy bliźniego,
Ale kochać, co to znaczy?
Kilka słów to wytłómaczy,
Kochać jak siebie samego.

To jest nie czynić drugiemu,
Co nam nie jest miło!
Sądząc, że co nas zraniło.
Przykrem także będzie jemu.

Urok dzieł Bożych.

Piekny świat Boży! na każdym kroku,
Czy tu na ziemi, czy hen... w obłoku,
Widoczne cuda i ręka Boga...
Chciej tylko patrzeć dziecino droga;
Otwórz twe oczy i otwórz serce...

Czyliż wiosenne łąki kobierce
I rój motyli, łąny zielone,
I owe dęby wiekiem omszone,
Które poważnie szumią liśćmi
I rozhowory wiodą z wiatrami —

Czy te strumyka wody przejrzyste,
Albo oblicze stawu faliste
I licznych ptasząt prześliczne pienia,
Nie zbudzą w sercu twem dziękczynienia?

Czyż letnie pola, odziane w kłosy,
I brylanciki porannej rosy,
I bujne sady płońskiej jesieni,
I zorza, która niebo rumieni,
I owe gwiazdki śniegowe zimy,
I niebo nasze i kraj rodzinny,
I ten świat światów Słowem stworzony...
Czyż ci to wszystko serca nie wzruszy?
Winnej wdzięczności nie wzbudzi w duszy?

O! wszystko mamy od Boga!
A więc Go wielbij, dziecino droga.
Niech się Twa dusza grzechem nie zmaże,
Żyj i postępuj tak, jak On każe,
I oddaj serce Temu, co w niebie...
Módl się do Niego w każdej potrzebie.